

Amanda

Kiedy Randal Mitchel odebrał telefon, było wpół do szóstej wieczorem i właśnie miał opuścić swoje biuro. To był dla niego jak zwykle ciężki dzień. Jak zwykle, dla takiego gburą, jak on. Od zawsze miał opinię człowieka oschłego i nieprzyjemnego, co udowadniał każdego dnia w kontaktach z innymi ludźmi, nieważne, czy był to listonosz czy też jego własna, nienawidząca go żona. Ich małżeństwo przetrwało chyba tylko dzięki rozsądkowi i być może odrobinie miłości, jaką darzyła go jeszcze ta kobieta oraz trzynastoletniej córce, Wandzie. Randal był opasłym, wiecznie spoconym i nieuznającym zdania innych ludzi, chodzącym kutasem. Jego posiwiałe, zawsze idealnie ułożone włosy i okulary w złotych oprawkach miały udawać za niego człowieka inteligentnego, elokwentnego i czytanego. Nie był jednak żadnym z nich, wręcz przeciwnie. Był głupi, wysławiał się jak typowy burak, a ostatnią książkę przeczytał w wieku lat dwunastu. Co z tego, że przeczytał, jak jej i tak nie zrozumiał. Opowieść o facecie w łódce, który przez całą akcję łowi jedną wielką rybę, po czym chce z nią dopłynąć do brzegu, wydawała mu się szczytem głupoty i debilizmu. Tak bardzo mu się nie podobała, że rozkwaśił nos swojemu koledze, który myślał inaczej.

W każdym razie miał własną firmę i kupę forsy. Wpadł na niezły pomysł dorobienia się cudzym kosztem, bo jak to się mówi, raz do roku to i mucha pierdnie, więc i on, raz w swoim życiu wykazał się inicjatywą.

Doszedł do wniosku, że skoro firmy i banki chcą by używano ich kart kredytowych i płatniczych, on będzie robił tak, by je kupowano. Zatrudniał studentów, którzy wyuczeni swojej „gadki” wciskali ludziom karty, sami mając z tego jedynie marną prowizję w wysokości 10 dolarów od umowy. Mitchel miał z takiej ponad 200 dolarów. Z czasem zauważył, że kobiety, a właściwie dziewczęta lepiej sprawdzają się w tej roli. Mają lepsze podejście do klienta, używają swojego uroku, podpisują więcej umów i, co najważniejsze, miały to, czego już nie zauważał u swojej żony. Seksowne, jędrne i młodziutkie ciała.

Jego konto pęczniało a on zaczął dochodzić do wniosku, że posiada sporą władzę nad podwładnymi. Często umawiał się ze swoimi pracownikami, zapraszał je na kolację, a potem, zazwyczaj w jakimś tanim i obskurnym hotelu, dawał upust swoim chorym, erotycznym fantazjom. Rzadko dochodziło do penetracji, przeważnie uznawał seks oralny. Uwielbiał, jak jakaś dziewiętnastolatka czy dwudziestokilkulatka zaspokajała go swoimi, młodymi ustami w sposób, w jaki tylko chciał. Zawsze widział poniżenie w ich oczach, czasami też łzy. Czuł się wtedy jak władca całego cholernego świata. Podniecało go, że młoda dziewczyna poddaje się bezwolnie pięćdziesięcioletniemu, grubemu, niedomytemu mężczyźnie. Wszystkie bały się, że tracą pracę. Zresztą zazwyczaj potem i tak je zwalniał.

- Słucham, Mitchel przy telefonie. – Burknął do słuchawki.
- Usłyszał stłumiony, kobiecy szloch.
- Kto mówi?
- Szloch ustał przez chwilę, po czym usłyszał znajomy głos.
- Nawet nie wiesz, co zrobiłeś, ty skurwysynu.
- Wybałuszył szeroko oczy i najwyraźniej go zatkało.
- Co...
- Zamknij się. – Syknęła kobieta w słuchawce aż przeszedł go dreszcz. – Wiesz, kto mówi?

Odruchowo sięgnął po paczkę papierosów, która od pięciu minut spoczywała spokojnie w kieszeni marynarki.

- Pani wybaczy, głos wydaje mi się znajomy, ale...

- Matka Amandy Jones! – Ryknęła do słuchawki. – Ta sama, której tak współczułeś na pogrzebie córki, ty kupo gówna.

Pamiętał dobrze Amandę Jones. Była jego pracownicą przez półtora miesiąca i spisywała się całkiem dobrze. Miała dobre wyniki, podpisywała sporo umów i chyba zarażała ludzi swoim dziewczęcym, radosnym i szczerym stylem bycia. Poza tym dopiero dostała dowód osobisty i chciała zarobić trochę pieniędzy na rozpoczęcie studiów. Była niewysoką, rudowłosą nastolatką z pełnym biustem i bardzo foremną pupką, zawsze ukrytą pod obcisłymi dżinsami. Od razu wpadła mu w oko i od razu chciał zrobić z nią to, co robił z innymi, jednak, gdy po pierwszym dniu pracy przyniosła do biura dwanaście podpisanych umów, postanowił zaczekać i zobaczyć, ile na tej dziewczynie zarobi.

- Pani Jones, przepraszam, nie poznałem.

- Zamknij się i słuchaj. – Kobieta w słuchawce obniżyła ton głosu, tak, że wydawało mu się to niemal teatralne. – Amanda popełniła samobójstwo przez ciebie.

- Jak to przeze mnie?

- Jeszcze raz mi przerwiesz, to pożałujesz.

Milczenie Mitchela utwierdziło kobietę w przekonaniu, że zrozumiał.

- Wysłała list. Dotarł on do mnie dziś po południu z Nowego Jorku. Wysłała go do kogoś, nawet nie знаła tej osoby. Najprawdopodobniej znalazła adres w książce telefonicznej. Do koperty włożyła drugą, zaadresowaną do mnie z przyklejonymi znaczkami. Zaufała obcej osobie wierząc, że ten list dotrze do mnie po jej pogrzebie.

Mitchel słuchał w ciszy nie mogąc zebrać ani jednej myśli.

- A teraz przeczytam ci fragment, nie cały, tylko ten o twojej winie: *Nie będę mogła spojrzeć w lustro po tym, co Randal Mitchel zrobił ze mną w hotelu przy trasie 88. Zostałam pozbawiona szacunku do samej siebie, splugawiona i zhańbiona przez tego obleśnego zboczeńca...*

Po upływie półtora miesiąca od czasu, kiedy ją zatrudnił, uznał, że okres ochronny dla tej laleczki skończył się. Nawet nie zmienił scenariusza. Kolacja, hotel. To było wszystko, na co pozwalała mu jego wyobraźnia. Od początku wiedział, że dziewczyna nie chce iść z nim do hotelu, przeczuwała, czego może się spodziewać a to jeszcze bardziej go podniecało. Wiedział, że w końcu ulegnie, bo zależało jej na pieniądzach i szło jej za dobrze, zarabiała zbyt wiele, by mu odmówić. Pamiętał dobrze, co wtedy robili. Wyobraźnia go poniosła i nie zadowolił się już tylko zwykłym robieniem dobrze ustami. Zaczął zachowywać się jak wygłodniały zwierz. Pamiętał, jak złapał ją za tył głowy i nadział jej usta tak, że nosem dotknęła mu podbrzusza. Trzymał tak bardzo długo, aż Amanda zaczęła się szarpać. Zwolnił uścisk i pozwolił jej nabrać powietrza, po czym powtórzył to jeszcze kilka razy a przy ostatnim zacisnął palce na jej nosie, całkowicie odcinając dostęp powietrza. Po kilku sekundach z jej ust buchnął gejzer wymiocin. Zaskoczyło go to, ale nie dał tego po sobie poznać. Widział jej bezradność, wstyd i jednocześnie dziewczęcą niewinność zbrukaną wymiocinami i jego nasieniem spływającym z kącików jej ust.

- Doprowadź się do porządku. – Rzucił dysząc

Wtedy rozplakała się.

- *Już nigdy nie spojrzę na żadnego mężczyznę, a to, co się stało, nie pozwoli mi nadal być z Rodem. Teraz, kiedy na niego patrzę, widzę jego – grubego, spoconego, obleśnego starucha, wkładającego w moje usta swój cuchnący dyszel...*

Mitchel stał z rozdziawioną gębą, a słuchawka prawie wypadła mu z ręki.

- Pani Jones, całym szacunkiem... - zaczął powoli.

- Nie pierdol mi o szacunku, ty jebany świniaku. – Powiedziała spokojnym tonem kobieta w słuchawce. – I przez sto lat bym ci nie wytłumaczyła, co to jest.

Zaciągnął się dymem papierosowym nie mogąc uwierzyć w absurd tej sytuacji.

- W każdym razie, będziesz miał teraz całe mnóstwo problemów z policją i prokuraturą. Nie pomogą łzy, takie, jakie ronisz nad grobem mojej córki. Wsadzą cię do pierdła, jedyny seks, z jakim się spotkasz, będziesz miał przy współudziale włochatego, grubego meksykanina o dźwięcznym imieniu Horhe, a siadanie na krześle stanie się czymś, o czym możesz jedynie pomarzyć, bo twoja blada, tłusta dupa będzie mogła jedynie znieść worki z lodem.

- Pani Jones, wyjaśnijmy jedną rzecz. Jeżeli nawet jest, jak pani mówi, jeżeli istnieje jakikolwiek list, to niech mi pani powie, dlaczego ktoś miałby w to uwierzyć? Dlaczego nie miał by to być głupi żart nastolatki, która i tak podjęła decyzję o rozstaniu się ze światem? – Rzekł swoim zwykłym, znów beczelnym tonem.

- Jak śmiesz tak mówić bydlaku. – W głosie kobiety rozbrzmiewał żal i złość. – Jak śmiesz?

- Tak właśnie śmiem. Czy coś jeszcze ma mi pani do powiedzenia, zanim zobaczymy się w sądzie?

- Chyba tylko to, że spodziewałam się takiej odpowiedzi.

W chwilę później usłyszał dźwięk rozłączonego połączenia. Zapadła cisza.

Zanim wyszedł z budynku, wszedł na chwilę do Ruth, swojej sekretarki. Była ona chyba jedyną kobietą -poza żoną, która całkowicie go nie pociągała seksualnie, z tą różnicą, że jednocześnie była jedyną osobą, którą na swój sposób szanował. Miała siwe włosy i liczyła siedemdziesiąt kilka wiosen a jej sucha sylwetka zawsze była wyprostowana, nawet wtedy, kiedy rok temu miała chore korzonki.

- Długo będziesz jeszcze tu tak siedzieć? – Spytał.

Spojrzała na niego spod okularów, jak nauczycielka, kiedy w klasie jest za głośno.

- Tyle, ile będzie trzeba.

- Przygotuj mi na jutro pismo rozwiązania umowy z Brownem.

Ruth westchnęła tylko i spojrzała na niego pytająco.

- Wczoraj spóźnił się dwadzieścia minut, z resztą nie po raz pierwszy.

- I?

- I jak go nie wypierdolę z roboty, to niczego się nie nauczy.

- Randal. – Rzekła wstając z krzesła. – Wiem, że najchętniej wypierdoliłbyś cały świat, ale co będzie, gdy on zrobi to z tobą?

- Kto, ten czarnuch? – Spytał niedowierzając.

- Nie, kochaniutki, świat. Poza tym Brown stoi tu już od godziny i tylko czeka na twoje rozporządzenia.

Randal zerknął w okno wychodzące na parking. Faktycznie, stała tam jego limuzyna, cała czarna z przyciemnionymi szybami, ogromna i lśniąca.

- Mógł o tym myśleć wcześniej.

- Wiesz o tym, że jego dzieciak choruje?

- Nie wina dzieciaka, że ma głupiego i leniwego ojca. Teraz będzie miał jeszcze bezrobotnego.

- Ale on go wiozł do szpitala, nie spóźniłby się, gdyby nie ta cukrzyca.

Zrezygnowany Randal oparł się o biurko i powiedział:

- Zrób na jutro to pismo i idź do domu.

Wyszedł trzaskając drzwiami i skierował się do wind

Kiedy z biurowca wytoczył się na parking, Brown stał przy limuzynie i rozmawiał przez telefon komórkowy. Gdy go zobaczył, szybko rozłączył się, schował aparat do kieszeni i zdjął swoją szoferską czapkę.

- Dobry wieczór panu. – Rzekł. – Jak minął dzień?

- Lepiej niż tobie, Brown. A wieczór zapowiada się jeszcze lepiej.
- Tego jestem pewien. – Powiedział otwierając mu tyle drzwi. – Gdzie dziś pana zawieść?

Randal rozparł się wygodnie na skórzanej kanapie koloru burgunda i zapalił kolejnego papierosa.

- Jak zwykle do La Costy a potem do hotelu.
- Oczywiście, proszę pana. – Powiedział Brown i zatrzasnął drzwi.

Dzisiejsza randka była zaplanowana na godzinę dziewiętnastą i za nic na świecie nie chciał się na nią spóźnić. Kobieta, z którą miał spędzić dzisiejszy wieczór (a także noc) była typem kobiety, które rzadko mu się trafiały. Dystygowana intelektualistka w okularach w drucianej, cienkiej oprawce. Była wysoką i szczupłą posiadaczką najpiękniejszej pary cyków, jakie kiedykolwiek widział przez bluzkę. Tu trzeba dodać, że zawsze przez zapiętą wysoko bluzkę, gdyż ta kobieta nie uznawała eksponowania swojego ciała. Nosła też zawsze długie spódnice i buty na wysokim obcasie. Długie blond włosy wiecznie miała zaplecione w idealnie krągły kok, który dawała rozpuszczać tylko jednemu swojemu mężowi.

Brown zatrzymał wóz przed restauracją, otworzył tyle drzwi i podał rękę Mitchelowi. Ten wygramolił się ze środka ciężko dysząc, po czym rzucił krótko: - Zaparkuj. Po czym radosnym krokiem wszedł do restauracji. Parking naprzeciwko restauracji był miejscem dobrze oświetlonym i dużym nawet dla manewrów tak ogromnego auta, jak Lincoln Mitchela. Brown zatrzymał samochód w miejscu, gdzie zwykł to robić, czyli w tylnej części parkingu, niedaleko ogrodzenia sąsiadującego z boiskiem do koszykówki, po czym zgasił silnik i światła.

Randka była krótka. Rozmawiali o różnych rzeczach, na wiele tematów, ale Mitchel patrząc na szczebiotającą kobietę zastanawiał się tylko nad tym, jak będzie ona wyglądać z jego jądrami wsadzonymi głęboko w usta. Musiał przyznać, że widok, jaki ujrzał oczami wyobraźni, był cudownie wspaniały. Potem rozmowa zeszła na jej stosunki z mężem. Okazało się, że oboje bardzo się kochali i ten argument był dla Mitchela twardym orzechem do zgryzienia, ale, jako, że był człowiekiem całkowicie pozbawionym elokwencji i dobrego taktu wypalił wprost, czy aby Sara, bo tak miała na imię ta wspaniała kobieta, nie zechce spędzić z nim nocy w hotelu a mężowi powiedzieć, że musiała pilnie wyjechać na jakieś nagłe szkolenie. Po tej propozycji Mitchel siedział jeszcze przez chwilę, patrząc się na jej biust i durnawo uśmiechając, by chwilę później dostać w twarz. Nie z otwartej dłoni, jak mają to w zwyczaju robić kobiety, nie z tak zwanego „liścia”, ale dostał najmocniejszy cios pięścią w twarz w swoim życiu. Gdyby czytał aplikacje przysyłane przez te kobiety a nie jedynie patrzył na zdjęcia przez pryzmat swojej hipokryzji, wiedziałby, że Sara jest dumną posiadaczką czarnego pasa w karate shotokan i tylko jej dobrą wolą było to, że tym ciosem nie pozbawiła go życia.

- Pieprzę ciebie i twoją pracę buraku. – Rzuciła obmierzle i spokojnie wstała od stolika. Zgromadzeni na sali ludzie zamilkli, obserwując całe widowisko w osłupieniu.

Randal wstał i rozejrzał się. Kilkadziesiąt par oczu gapiło się na niego.

- Na co patrzycie głupie ciotki? – Krzyknął. – Ta kurwa nie zazna spokoju w tym mieście, a już na pewno nie znajdzie pracy.

Poprawił krawat i szybkim krokiem uciekł spod obstrzału patrzących z pogardą oczu.

W limuzynie czuł się znów jak człowiek. Rozsiadł się wygodnie, z barku wyjął małe malibu, i nie bawiąc się w rytuały, wysączył je prosto z butelki. Nawet nie zauważył, że

podczas otwierania drzwi, światło wewnątrz auta nie zapaliło się. Nawet nie zdał sobie sprawy z tego, iż ucieszył go ten fakt. Było ciemno, a ostatnią rzeczą na świecie, jakiej chciał było to, by ktoś z restauracji patrzył na niego chociażby sekundę dłużej. Ciemność dała mu schronienie przed sztychającym i pogardliwym wzrokiem ludzi z wewnątrz. Nacisnął przycisk interkomu i rzucił:

- Do domu.

Auto nieśpiesznie wymanewrowało z parkingu i włączyło się do ruchu. Randal patrzył na mijane latarnie i ludzi chodzących po chodnikach. Odruchowo obejrzał się za jakąś zgrabniejszą dziewczyną, ale zdał sobie sprawę, że po dzisiejszym wieczorze nie ma ochoty na żaden seks, jedynie na prysznic, drinka i położenie się do swojego wielkiego i wygodnego łóżka. Miał nadzieję, że Sara wróci jutro skruszona do biura i zgodzi się na wszystko. W głowie zaświtał mu plan, że jeśli ona tak zrobi, on nie pohamuje się przed niczym, by pokazać tej suce, gdzie jej miejsce. A potem i tak ją zwolni. Prawdę powiedziawszy, ten plan niczym nie różnił się od pozostałych, ale jego ograniczony umysł mówił mu, że jest genialny.

Samochód wjechał na autostradę i pognął w ciemność. Monotonna jazda sprawiła, że oczy Randalu stawały się coraz cięższe a ciepłe i przytulne wnętrze spowodowało niepohamowane uczucie senności. Zasnął.

Obudził się po kilkunastu minutach. Niejasno zdał sobie sprawę, co było powodem tego przebudzenia. Ten zapach. Otworzył oczy, ale nic nie widział. W aucie panowała całkowita ciemność. Powoli oczy zaczęły się przyzwyczajać. Nadal jechali. Czuł jak auto podskakuje na niewielkich nierównościach, tylko skąd do cholery wziął się ten zapach. Nie zapach, smród. Teraz dopiero poczuł go wyraźnie. Ohydny odór gnijącego mięsa, pomieszany z mdłym zapachem cmentarnej ziemi.

- O Chryste. – Wyjęczał tak, jak by za chwilę miał zwymiotować. Nacisnął przycisk otwierania okna, ale ten nie zadziałał. Naciskał jak oszalały, ale bez skutku. W ciemności wymacał przycisk interkomu i wywrzeszczał:

- Brown, do jasnej kurwy, co tu tak śmierdzi?

Z głośnika nie dobiegł żaden dźwięk, ale poczuł, jak auto gwałtownie przyspieszyło.

- Brown, co się do cholery dzieje?

Wtedy zobaczył, że krajobraz za oknem, nie powinien się pojawić w drodze do domu. Byli na jakimś pustkowiu i Randal ocenił, że jadą z prędkością jakichś osiemdziesięciu mil na godzinę. Poczuł, jak włoski na jego karku zaczynają stawać na baczność. Ta sytuacja coraz mniej go bawiła. Powoli zaczął wpadać w panikę.

- Brown?

Cisza.

Jego oddech stawał się coraz szybszy i nie zważał już na panujący odór. Wtedy jego wzrok padł na coś, co majaczyło na przeciwległej kanapie auta, tuż pod oknem. Zmrużył oczy, ale nie widział dokładnie. Ktoś z nim tu był. Ktoś siedział w jego samochodzie, dokładnie po przekątnej a on nie mógł zobaczyć, kim ten ktoś jest.

- Kto tutaj jest? – Spytał drżącym jak pies na mrozie głosem.

Dobiegł go tylko odgłos cichego, głębokiego westchnięcia, które w końcowej fazie przerodziło się w gardłowy, obrzydliwy bulgot. Poczuł, jak oddech omiata jego twarz i wtedy nie wytrzymał. Skulił się gwałtownie i zwrócił wszystko na podłogę.

- Kurwa! – Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek miał kontakt z czymś tak obrzydliwym, jak ten smród. Opadł na oparcie i oddychał płytkimi, panicznymi wdechami i wydechami. Odgłos powtórzył się.

- Na litość boską, przestań! Kim jesteś?

Zauważył niewielki, powolny ruch w tamtej części auta. Zdawało mu się, że postać przekreśliła głowę w jego kierunku. Słyszał chrzęst kości i ścięgien a lodowaty dreszcz przebiegł go po plecach.

- Kim jesteś! – Wydarł się na całe gardło mając nadzieję, że Brown go usłyszy.

- Hammadhrra. – Usłyszał tylko przeciągły bulgot na pozór niepowiązanych ze sobą liter. – Hammadhrra Džhrrroonssshhh.

Nie dowierzał. Nie był w stanie sobie wyobrazić, czy to, co teraz usłyszał było prawdą, czy po prostu jeszcze się nie obudzi.

- Przecież ty nie żyjesz! – Krzyknął i w tym momencie przypomniał sobie, że pod siedzeniem, w miejscu, w którym teraz siedział, ukryty jest niewielki zestaw w razie kłopotów. Była tam linka, zbijak do szyb i najważniejsze. Latarka.

Powolnym ruchem przychylił się lekko i namacał niewielką skrzyneczkę. Otworzył ją i natrafił na małą latarkę Maglite Solitaire.

- Oby baterie były na chodzie. – Pomyślał w duchu. Przekreślił głowicę latarki, bowiem tak właśnie się ją uruchamiało. Snop zabłysnął jasnożółtym światłem i Randal skierował go drżącą dłonią w kierunku postaci, mając nadzieję, że nie ujrzy tam nic a cała historia okaże się tylko zwykłą halucynacją. Jednak nie miał tyle szczęścia. Widok, jaki ujrzał, sprawił, że część jego mózgu odpowiadająca za zdrowy rozsądek w ułamku sekundy obumarła. W kącie samochodu siedziała dziewczyna, którą znał, ale która nie wyglądała tak, jak ją zapamiętał. Promień latarki oświetlał to, co kiedyś można było nazwać jej twarzą. Skóra była niemalże biała, miała wygląd stopionego, półprzezroczystego wosku a z licznych zadrapań wypełzały białe, tłuste larwy i spadały na jej niegdyś kształtne a teraz obwisłe piersi ukryte pod postrzępioną, ubrudzoną cmentarną ziemią, jedwabną, białą bluzką, w której ją pochowano. Jedna z piersi miarowo falowała, po czym z głuchym trzaskiem łamanego żebra, zapadła się w głąb tułowia.

Randal stłumił krzyk, zakrywając usta wolną ręką. Patrzył na jej włosy, które niegdyś podziwiał. Zamiast pięknego, lśniącego, miedzianego koloru, wyglądały na matowe, kruche i prawie szaro – krwawe. Widział, jak za każdym razem, kiedy auto podskakiwało na wybojach, włosy odpadały od naciągniętej na siną czaszkę wysuszonej skóry i sypały się na dół, niczym miliony świerkowych igieł, w czasie, kiedy drzewo je gubi.

Patrzyła wprost na niego, ale nie były to oczy Amandy Jones. Zapadnięte w głąb oczodołów gałki zerkały na niego, a zaciągnięte bielmem i ropą źrenice zdawały się go świdrować na wylot. Z kącików oczu spływało coś, co mogło uchodzić za łzy, ale też nimi nie było. Łzy zazwyczaj nie są zgnięzione i nie pełzają w nich tysiące larw czerwi.

Gdyby Randal mógł siebie teraz zobaczyć, zaskoczyłoby go to, że jego włosy stały się nie tyle siwe, co popielato białe. Teraz już tylko krzyczał, krzyczał jak szalony. Bo był szalony. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że postradał zmysły.

- Hammadhrra Džhrrroonssshhh. – Zacharczała dziewczyna i rzuciła się w jego kierunku wyciągając szponiaste dłonie z połamanymi, powykręcanyimi paznokciami.

Jedynym odruchem, jaki wykonał Randal, było złapanie klamki przy drzwiach a ostatnią myślą, zanim jego głowa zetknęła się z asfaltem, przy prędkości osiemdziesięciu mil na godzinę, jaka mu zaświtała było:

- Co ja do cholery wyprawiam?

Jeśli ktoś kiedyś wyrzucił z pędzącego samochodu arbuz, ten wie, jak wyglądała głowa Randala Stevensa właśnie w tej chwili. Jeśli nie, to nie trudno sobie ten widok wyobrazić.

Brown zatrzymał samochód dwadzieścia minut później, pośród pustyni. Na niebie świecił księżyc a gwiazdy migotały milionami świetlistych punkcików. Wysiadł i podszedł do tylnych drzwi. Były zatrzaśnięte. Pęd powietrza z pewnością je zamknął, po tym, jak Stevens postanowił się ewakuować. Czarnoskóry mężczyzna otworzył je i wsiadł do środka. Zapalił

światło, a wcześniej, gdy był jeszcze w kabinie, umieścił z powrotem właściwy bezpiecznik na swoim miejscu. Nie przeszkadzał mu odór gnijącego ciała. Przesunął się naprzeciw dziewczyny siedzącej w kątku kanapy i spojrzął na nią. Była taka smutna. Była taka od momentu, kiedy przywrócił ją do życia. Jako kapłan voodoo wiedział, że teraz będzie musiał z powrotem ułożyć ją do snu. Miał wrażenie, że ona też to wiedziała, ale rozumiała to. Kiedy teraz tak na niego patrzyła, poczuł wielki żal i ból w sercu. Jej oczy wydawały się niemal żywe, sprawiały, że miała myślący wyraz twarzy. Pochyliła lekko głowę i przez ułamek sekundy miał wrażenie, że się do niego uśmiecha. Kąciki jej ust podniosły się. Przesiadł się koło niej i objął ją głaszcząc po zbutwiałych, rudych niegdyś włosach. Wtuliła się w jego pierś tak, jakby chciała, żeby już nigdy jej nie puścił.

- Byłaś bardzo dzielna, kochanie. – Powiedział ciepłym, spokojnym tonem. – Byłaś tak dzielna, że nikt nie potrafiłby być tak dzielny jak dziś Ty byłaś.

Słuchała go i słuchała bicia jego serca. Łzy popłynęły jej z oczu, ale teraz były czyste i szczerze. Wiedziała, że przywrócił ją do życia, by dokonać dla niej zemsty. Była mu za to bardzo wdzięczna. Wiedziała, że teraz będzie musiał z powrotem złożyć ją martwą w grobie, ale nie przeszkadzało jej to. Była szczęśliwa.

- Teraz, kochanie będziesz mogła w spokoju udać się do wieczności a Twoja dusza nie będzie się już błąkać w poszukiwaniu zemsty. Twój oprawca nie żyje i na pewno nie spotkacie się w zaświatach. On spędzi wieczność w miejscu przeznaczonym dla złoczyńców, morderców i samobójców. W waszej religii to miejsce nazywa się piekłem.

Zakwiliła cichutko wtulając się jeszcze mocniej. Kochała go.

- Wskrzesałem Cię, dlatego, że nienawidziłem tego człowieka równie mocno jak ty. Po tym, jak się dowiedziałem, że się zabiłaś, myślałem, że oszaleję. Nigdy nie żałowałem tak bardzo tych dziewcząt, jak ciebie. Z jednej prostej przyczyny. Kiedy wysiadałaś z samochodu, zapłakana, ze wstydem wzierającym z Twoich pięknych, smutnych oczu, odwróciłaś się do mnie, uśmiechnęłaś i przez łzy powiedziałaś: „Dobranoc, panie Brown”. Żadna wcześniej tego nie zrobiła. A potem dowiedziałem się, że nie żyjesz.

Amanda poruszyła się lekko próbując odwrócić głowę w stronę jego twarzy. Patrzyła na niego z miłością i szacunkiem a jednocześnie z radością, że została wyrwana spod groźby wiecznego potępienia, które zarezerwowane jest dla samobójców. Teraz, kiedy umrze ponownie, nie umrze jako samobójczyni. Po prostu odejdzie po raz drugi.

- Dziękhhuję. – Powiedziała niemal wyraźnie. – Za wszhysthko.

Brown trzymał delikatnie jej głowę a łzy ciekły mu po policzkach jak strumień goryczy.

- Kocham cię Amando Jones. – Powiedział i złożył na jej ustach gorący, namiętny pocałunek śmierci.